



NIESPOKOJNE LATA

WIKTORIA GISCHE

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcia na pierwszej stronie okładki: © Agneskantaruk/Shutterstock;

© Magdalena Russocka/Arcangel Images

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2405-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: OZGraf • Olsztyn

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Rozdział 1

Sarny stojące przy paśniku zastrzygły uszami. Zaczęły nerwowo wciągać powietrze, ich nozdrza wylapywały obce zapachy napływające z zimnym podmuchem wiatru. Małe kozły przyłgnęły do matek, wyczuwając ich napięcie i gotowość do ucieczki. Klęby pary tworzyły się nad ich głowami z każdym wypuszczonym oddechem. Serca zaczęły bić szybciej. Kopyta raz za razem uderzały o zmarzniętą ziemię. Stadko czekało na znak przewodnika. Trzask złamanej gałązki sprawił, że puściło się biegiem, zostawiając za sobą smakowite siano wypełniające koryto paśnika.

Chwilę później pośród drzew pojawili się dwaj zakapturzeni mężczyźni. Szli wolno, rozglądając się to tu, to tam. Patrzyli nie tylko na prawo i lewo, ale także w górę, taksując badawczym wzrokiem gęsto rosnące choinki.

– Ta będzie dobra – odezwał się jeden z nich, pocierając czubek nosa. Ciepło grubej rękawicy, w której schował marznącą dłoń, rozgrzało na chwilę zaczerwienione zziębnięte miejsce. – Chodzimy ponad dwie godziny. W końcu wszystkie wyglądają tak samo.

– Hrabia powiedział, że ma być urokliwa. – Drugi mężczyzna, nie zwalniając kroku, parł przed siebie. Tylko szybki marsz rozgrzewał ciało i sztywniejące palce u nóg. Żałował, że nie posłuchał matki, która radziła włożyć do butów zużyte gazety.

– Urokliwa, powiadasz? A co to znaczy urokliwa? – Pierwszy nie dawał za wygraną. Przystanął. Nie ruszył za swoim kompanem nawet wtedy, kiedy odległość między nimi znacznie się zwiększyła.

– Urokliwa to uro... – Młodszy mężczyzna przerwał w pół słowa, zdając sobie sprawę, że mówi do siebie. – Idziesz?! – krzyknął.

– Ta będzie dobra! – odpowiedział kolega, wskazując na drzewko obok siebie.

Miał rację. Wszystkie tutejsze choinki były urokliwe. I te małe, i te średnie, nie mówiąc już o dużych, przy których trzeba było zadzierać głowę, aby dojrzeć wierzchołek. Były grube i równomierne, z prostym końcem, który aż się prosił, żeby zawiesić na nim bożonarodzeniowego anioła. Jego towarzysz westchnął głośno. Wzruszył ramionami i zawrócił. Idąc w stronę choinki, ważył w dłoni ciężką siekiere.

Hrabia wezwał ich dzisiaj do siebie i polecił znaleźć drzewko, które jutro z samego rana, na dzień przed Wigilią, należało dostarczyć do Krakowa, do niejakiego Schramma, znajomego Michałowskiego. Miał to być prezent, a jednocześnie wyraz wdzięczności za doskonałe usługi, jakie oferował Schramm, właściciel znanego banku o nienagannej opinii.



– Choinka! Mamo, tato, choinka! – Stefania wyskoczyła z łóżka, chociaż dochodziła dopiero dziewiąta rano.

Było to do niej niepodobne, bo młodsza latorośl Schrammów lubiła wylegiwać się do późna, kompletnie nie zwracając uwagi na upomnienia, że czas już wstawać.

Kiedy jednak wczoraj wieczorem ojciec potwierdził, że jutro dostarczą im świeżą pachnącą choinkę w prezencie od jednego z klientów, Stefania nie mogła usiedzieć na miejscu, a wieczorem kręciła się w łóżku do późnych godzin nocnych, przeszkadzając swojej siostrze Eleonorze.

– A ty w ogóle spałaś? – zapytała Eleonora, kiedy Stefania minęła jej łóżko i pędem udała się do przedpokoju, skąd dochodziły tubalne głosy rozmawiających głośno mężczyzn, taszczących piękny, pachnący lasem świerk.

– Jak możesz leżeć w takiej chwili! – krzyknęła dziewczynka i już jej nie było.

Długie ciemne pasma włosów Stefanii, które pokojówka każdego wieczoru tuż przed snem zbierała w ciasny warkocz, wymykały się teraz swobodnie niczym wstążki chłostane na wietrze, powiewając za skaczącą z radości dziewczynką. Podskakując na szczupłych nóżkach i wywijając rękami, Stefania wpała do salonu. Na widok przecudnej urody drzewka jej duże niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe, a wąskie usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Wspaniała – westchnęła, siadając w wielkim fotelu.

Tymczasem Eleonora tylko uśmiechnęła się lekko i obróciła na drugi bok. Powieki miała ciężkie, oczy zachodziły jej łzami, a usta co chwila się rozciągały, chociaż starała się powstrzymać ziewanie. Nawet nie wiedziała, kiedy znowu zasnęła. Obudziła się przed południem i zamiast do śniadania, od razu zasiadła z resztą rodziny do obiadu.

Późnym popołudniem, kiedy na dworze było już zupełnie ciemno, Schramm z żoną i córkami zasiedli w salonie, podziwiając udekorowane, oświetlone blaskiem dziesiątek świec drzewko.

– Aż się nie chce wierzyć, że już jutro Wigilia – westchnęła Tekla Schramm, unosząc do ust filiżankę mocnej czarnej kawy.

Matka Eleonory i Stefanii jak zwykle ubrała się na czarno. Nosiła się tak od lat, czym wciąż podsycala plotki. Jedni uważali, że to z powodu jej niezdrowego zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi i uczestnictwa w seansach spirytystycznych. Inni, że Schrammowa w ten sposób podkreśla swoją alabastrową cerę, której zazdrościło jej wiele dam. Na tle białych policzków, których nigdy nie wystawiała na działanie słońca, wyraźnie odcinały się duże ciemne oczy pod

czarnymi niczym smoła brwiami. Wydatne kości policzkowe oraz mocno zarysowany podbródek nadawały jej twarzy wyraz swoistej szlachetności, chociaż kto poznał ją z charakteru, raczej nie nazwałby jej szlachetną z ducha. Zresztą plotkowano nie tylko na temat jej zamiłowania do czarnych, żałobnych strojów, ale także do zapachów. Niejedna pani domu zastanawiała się, czy tak jak w poprzednich latach Schramm podaruje żonie pod choinkę absurdalnie drogie perfumy sprowadzone prosto z najstarszej francuskiej manufaktury Houbigant. Swego czasu Tekla pochwaliła się znajomej, że do wytworzenia abso-lutu irysowego, który jest sercem jej ukochanych perfum, potrzeba aż półtorej tony kłączy irysa.

Tekla zamknęła oczy, delektując się cynamonowym smakiem gorącej kawy. Pierwszy raz spróbowała tego trunku zaledwie kilka lat temu, kiedy wraz z mężem odwiedzali przyjaciół Jana w Wiedniu. Wcześniej mówiła kawie stanowcze „nie”, twierdząc, że nie będzie jej smakowała. Kiedy jednak podczas owej wizyty podano kawę, nie pytając gości o preferencje, zmuszona była jej skosztować. Pierwszy łyk sprawił, że mimo woli się skrzywiła. Kawa była czarna jak smoła i bardzo, ale to bardzo słodka, z wyczuwalną delikatną nutą cynamonu. Pierwsze nie najlepsze wrażenie sprawiło, że Tekla odstawiła filiżankę, ale widząc, że zarówno jej mężowi, jak i jego przyjaciołom napój najwyraźniej smakuje, uniosła ją raz jeszcze do ust. Mały łyteczek przytrzymała na języku nieco dłużej, pozwalając aromатовi rozplynać się w ustach. I od tamtej pory stała się miłośniczką świeżo mielonej, mocnej czarnej kawy z dużą ilością cukru i odrobiną cynamonu, względnie kardamonu.

– To prawda. Czas biegnie nieubłaganie. Wcale nie tak dawno witaliśmy Nowy Rok, a tu za kilka dni przyjdzie nam witać kolejny. Nie do wiary, że za parę dni pożegnamy pierwszą dekadę dwudziestego wieku. – Jan Schramm przyglądał się zawieszonym na choince pierniczkom, przełykając ślinę na myśl o ich korzennym aromacie

i smaku. Na tyle dobrze znał jednak Teklę, żeby wiedzieć, że nie pozwoli ich ruszyć aż do drugiego lutego, kiedy to zazwyczaj ściągano świąteczne dekoracje.

– Baliśmy się, że ten rok będzie nieszczęśliwy. Wszelkie znaki na niebie i ziemi zapowiadały katastrofy, a tymczasem wszystko ułożyło się nad wyraz pomyślnie. Nie tylko dla nas, ale także dla naszego kraju.

Słowa Tekli przypomniały całej rodzinie, jak na początku roku podano do wiadomości, że w połowie stycznia pojawi się jasna, widoczna gołym okiem Wielka Kometa Styczniowa. Spektakl był tak nadzwyczajny, że mimo okrutnego w tym roku mrozu zgromadziło się mnóstwo ludzi chcących na własne oczy zobaczyć to kosmiczne чудо.

– Paryżanie mają w tej kwestii pewnie inne zdanie – wtrąciła Eleonora, spoglądając na matkę. Chciała jej tym samym przypomnieć, że niedługo po opuszczeniu przez kometę ziemskiej orbity w Paryżu doszło do powodzi. Wody Sekwany, chociaż nie było tak ulewnych deszczy, wezbrały i zalały nie tylko miasto, ale i paryskie metro.

– Faktycznie, całkiem o tym zapomniałam. Mówiło się nawet, że to dopiero początek kolejnych nieszczęść. – Tekla jak nigdy zgodziła się z córką. – Na szczęście tylko na tym się skończyło – dodała po chwili.

– Och, zapewniam cię, że byli i tacy, co uważali i nadal uważają, że nie było to jedyne nieszczęście, jakie wówczas nawiedziło Europę. Jeden z moich klientów, notabene zacy człowiek, ale wyjątkowy konserwatysta, wpadł swego czasu do mnie do biura i zanim zaczęliśmy omawiać jego sprawy, wyzalił się, że na zjeździe kobiet socjalistek dzień ósmego marca ustanowiono Międzynarodowym Dniem Kobiet. Bardzo się tym denerwował. Był tak wzburzony, że i mnie się udzieliło jego rozgorączkowanie. Sam się sobie dziwiłem, bo to do mnie niepodobne, ale wdałem się z nim w dyskusję na temat ruchu sufrażystek.

– A cóż w nim złego? – zapytała Eleonora, która od dawna interesowała się wszystkim, co dotyczyło praw kobiet.

Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Eleonora, podobnie jak matka, miała włosy czarne niczym skrzydła kruka, gęste i długie, zebrane w modny kok. W szczupłej twarzy o ładnie zarysowanych kościach policzkowych i łagodnym podbródku z niewielkim dołeczkiem pośrodku szczególną uwagę zwracały duże migdałowe oczy o brązowych, szeroko teraz otwartych źrenicach. Policzki dziewczyny były lekko zaróżowione, ale nie był to efekt podekscytowania, który mogła wywołać prowadzona konwersacja, a jedynie wystawiania twarzy do słońca, ponieważ w przeciwieństwie do swojej rodzicielki i ku jej ogromnemu zgorzeniu Norcia, jak mówili do niej bliscy, uwielbiała, kiedy promienie tańczyły po jej policzkach.

– Ano nic, kochanie – odpowiedziała matka i chcąc uciąć drażliwy według niej temat, wspomniała o komecie Halleya, którą mieli okazję zobaczyć w połowie kwietnia.

– Kiedy znowu przyjdzie nam podziwiać coś takiego? Dwie komety w jednym roku. Niesamowite! – Ojciec uniósł nieco głos. Robił tak zawsze, kiedy coś szczególnie go zainteresowało.

– Niezwykle były też obchody pięćsetlecia bitwy pod Grunwaldem. – Eleonora zerknęła na rodziców. Wiedziała, że możliwość odzyskania niepodległości leży im na sercu, ale znała ich ostrożne, można by rzec zachowawcze, podejście do kwestii mieszania się w politykę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że sami raczej nie staną do walki, czy to jawnej, czy w ukryciu.

– Pomnik jest monumentalny. A wiecie, że ponoć powstawał w najgłębszej konspiracji? – Jan Schramm o dziwo nie uciął rozmowy, lecz mówiąc to, ściszył głos niemal do szeptu. – Nawet twórca szkiców nie wiedział o ich przeznaczeniu.

– Wciąż czuję radość na wspomnienie tego nieprzebranego morza ludzi, które przybyło do Krakowa. A pamiętacie te przemowy? Miałam

łzy w oczach, kiedy mówił Paderewski. Cóż to za człowiek! – Tekla, wciąż stojąc przy choince, przycisnęła rękę do serca dla podkreślenia emocji, jakie wówczas nią targaly.

– Nadal słyszę te ogłuszające brawa, kiedy Paderewski powiedział, że pomnik powstał nie z nienawiści, ale z miłości do ojczyzny. A kiedy chór śpiewał *Rotę*, płakałam jak bóbr, pamiętasz, mammo? – zapytała Eleonora.

– Mnie zawsze omijają najlepsze rzeczy – poskarżyła się Stefania, która wówczas została w domu pod okiem służby. Teraz siedziała w fotelu tuż obok starszej siostry. Dla podkreślenia niezadowolenia wydeła wargi.

– Nie rób tak, bo wyglądasz jak kaczką. Poza tym takie fochy nie przystoją trzynastolatce. – Po tych słowach Eleonora wychyliła się ze swojego miejsca i przejechała siostrze po ustach, udając, że na nich gra. Stefania pacnęła ją w rękę, ale zamiast się naburmuszyć, parsknęła śmiechem i odgryzła się:

– Tak samo jak twoje zachowanie nie pasuje do siedemnastolatki.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza zmałowana tylko miarowym tykaniem zegara oraz trzaskiem palącego się na kominku drewna.

– A jednak nie do końca ten rok był spokojny – zaczęła Eleonora. – Jak myślisz, tatku, co będzie ze sprawą studentów?

– Wuj mówił, że na razie uniwersytet pozostanie zamknięty do początku nowego roku. Profesorowie radzą nad karą dla wicherzycieli, ale ja uważam, że nie może być inna jak wydalenie. Nieważne, jakie mieli poglądy, lewicowe czy prawicowe, nie może być tak, żeby ucząca się młodzież bojkotowała wykłady profesorów. Skoro nie podobały im się tematy poruszane przez księdza Kazimierza Zimmermanna, mogli go nie słuchać. Nikt ich siłą nie ciągnął do auli na, jak oni to nazwali? A właśnie, na „klerykalną agitaturę”. – Po słowach bankiera w salonie zapadła cisza.

Jan Schramm najwidoczniej nie zamierzał ciągnąć dyskusji, ponieważ sięgnął po gazetę, dając do zrozumienia, że nadeszła pora lektury

„Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, którego pierwszy numer ukazał się na początku grudnia, ale już zdążył się przyjąć w wielu krakowskich domach.



Rodzinne pogaduszki przeciągnęły się do późna, dlatego Jan i Tekla położyli się dopiero po dwudziestej trzeciej. Kto znał ich zwyczaj, zdziwiłby się mocno, ponieważ Schrammowie należeli do tych ludzi, o których się mówi, że kładą się spać z kurami i z kurami wstają. I chociaż wczorajszy dzień znacznie się wydłużył, dziś rodzice Eleonory i Stefanii już od świtu byli na nogach.

Jan Schramm cierpliwie i z wielką starannością wiązał krawat, stojąc przed lustrem. Badawczym wzrokiem oceniał swój wygląd. Chociaż w ostatnim czasie przybyło mu nieco w pasie, wciąż był zadowolony ze swej figury. Najpewniej gdyby był niższy, zbędne kilogramy uwypukliłyby się mocniej, ale przy jego wysokim wroście były ledwo zauważalne. Przyjrzał się jeszcze swoim gęstym włosom. W jasnobrązowych falach odnalazł kilka siwych pasemek. Przysunął się bliżej lustra i zerknął na starannie przycięty zarost. Przynajmniej tu nie zauważył siwizny. Raz jeszcze obejrzał się z każdej strony. Był perfekcjonistą, dlatego wszystko musiało na nim leżeć jak ulał. Potem sięgnął po wieszak, na którym wisiła wyprasowana wczoraj wieczorem kamizelka. Włożył ją na białą wykrochmaloną koszulę i ocenił efekt, przyglądając się sobie z kilku stron. Nie daj Boże, żeby coś gdzieś odstawało. Wreszcie zadowolony z tego, co widzi, włożył marynarkę. Płaszcz, ciepły szal, rękawiczki z miękkiej skórki oraz kapelusz zakupiony u Henryka Schwarza, którego magazyn główny mieścił się przy Grodzkiej 13, leżały w przedpokoju. Idąc w stronę stojących tam szafy oraz komody, uśmiechnął się pod wąsem na wspomnienie pewnej niedawnej rozmowy z szanowną małżonką.

– Czy nie mógłbyś poszukać innej pracowni, bardziej, by tak rzec, renomowanej? – spytała Tekla, przyglądając się ostatniemu zakupowi męża.

– A co jest złego w Schwarzu? – zapytał zdziwiony.

– Cóż, doskonale wiesz, że Potocki czy Lubomirski zaopatrują się w innych pracowniach. Zapewne o Schwarzu nawet nie słyszeli. – Wymawiając nazwę pracowni, Tekla skrzywiła się nieznacznie. Jan Schramm odłożył kapelusz i podszedł do żony, ujmując jej dłonie. Przez lata nauczył się cierpliwości. Drobne uszczypliwości Tekli już dawno przestały go denerwować.

– Moja droga, może Potocki i Czartoryski nie kupują kapeluszy u Schwarza, ale ja czuję się tam jak sam car, kiedy mnie obsługują, i wolę być carem u Schwarza niż pucybutem w pracowni, do której chadzają księżęta. – Ucałował jej dłonie, dając do zrozumienia, że zakończył rozmowę na temat zmiany kapelusznika.

Teraz przystanął przed ogromnym lustrem w ozdobnej pozłacanej ramie i rzucił okiem na swoje odbicie. Rozejrzał się, wyraźnie czegoś szukając.

– Szymonie! – zawołał.

– Służę. – Wysoki, chudy mężczyzna mniej więcej w wieku Schramma wyłonił się ze służbówki. W ręce trzymał jedną z marynarek bankiera, czyszcząc ją z niewidocznych pyłków.

– Widziałeś gdzieś dzisiejsze wydanie „Kuriera”? – Bankier miał zwyczaj przeglądać gazetę przed wyjściem z domu.

Szymon podszedł do komody, podniósł kapelusz oraz szal razem z rękawiczkami. Pod nimi spokojnie leżała gazeta.

– O, tego mi było trzeba – skwitował Schramm.

Przelatywał tytuły: „Krwawa scena w sądzie”. „Nadzwyczajne premie dla naszych prenumeratorów”. „Wielka katastrofa w kopalni”. „Rybak szpiegiem”. Chętnie zasiadłby do lektury, ale słysząc panujący w domu harmider, wolał usunąć się sprzed oczu Tekli. Już

miał odłożyć gazetę, żeby poczytać ją spokojnie wieczorem, kiedy przypomniał sobie, że dziś Wigilia, a co za tym idzie, uroczysta kolacja. Wieczorem do stołu mieli zasiąść wraz z jego rodziną sami znamienici goście. Jan Schramm dobrał ich bardzo starannie. Zanim wysłał ręcznie malowane i kaligrafowane zaproszenia, zrobił listę. Grono zaproszonych zawęził do kilku najważniejszych osób, które miały albo mogły mieć w przyszłości wpływ na jego interesy. A zatem będzie dziś witał braci Zieleniewskich, którym swego czasu pożyczył znaczną sumę na budowę nowej, większej fabryki. To dzięki jego znajomościom, które Jan zadzierzgnął jeszcze podczas nauki bankowości w Niemczech, przedsiębiorcy otrzymali wsparcie pieniężne z wiedeńskiego banku Credit-Anstalt. Od tego czasu C.K. Fabryka Maszyn L. Zieleniewski Towarzystwo Akcyjne znacznie się rozrosła, przynosząc z roku na rok większe zyski. Jan Schramm starał się podtrzymywać znajomość, co zresztą nie było trudne, jako że bracia Leon i Edmund wciąż uważali, że mają wobec niego dług wdzięczności.

Zaproszenie otrzymała także Kazimiera Bujwidowa – wraz z mężem Odonem – którą chciał kiedyś nająć jako nauczycielkę dla swoich córek. Niestety, Tekla była temu wyraźnie przeciwna. Kiedy jej o tym powiedział, otworzyła szeroko oczy i wyrzucając ręce w górę, powiedziała:

– To pisarka i feministka. – Wypluła te słowa tak, jakby parzyły ją w język. – Na dodatek niewierząca. Nie zgadzam się, aby taka osoba uczyła nasze dziewczęta i mąciła im w głowach.

Adresując kopertę, Jan najchętniej przemilczałby sprawę z zaproszeniem dla Kazimieri, ale nie chciał zaskakiwać żony. Tekla bywała czasami nieprzewidywalna, a nie chciał, aby spokojna wigilijna wieczera zamieniła się w skandal, o którym będzie rozprawiać cały Kraków, dlatego ostrożnie nadmienił o obecności Bujwidów dwudziestego czwartego grudnia.

– Cóż jej po Wigilii Bożego Narodzenia? Od kiedy to niewie-
rzący obchodzą jakieś święta? – Reakcja Tekli była do przewidzenia.
Perorowała ostro, gestykulując żywo rękami.

– Najwyraźniej nie przeszkadza jej to spotkać się w zacnym gronie.
A zapraszam ją, ponieważ twój brat bardzo dobrze wypowiada się o jej
mężu, który jest niezwykle zdolnym człowiekiem, i coś mi się zdaje,
że niedługo zadowalać go będzie posada na uniwersytecie. Wierz mi,
znam się na ludziach.

– Już kiedy chciałeś Bujwidową zatrudnić jako nauczycielkę, mó-
wiłam, że może mieć zły wpływ na nasze córki, szczególnie na Eleo-
norę. – Tekla nie dawała za wygraną. – Ona i tak już nie wyściubia
nosa z za książki. Od zawsze byłeś za bardzo pobłażliwy, co może się
kiedyś źle skończyć. Kto to widział, żeby córki bankiera zachowywały
się w ten sposób? Całe szczęście, że ich dziwactwa, które dziwnym
trafem nie są szeroko komentowane i potępiane przez towarzystwo,
mogę złożyć na karb rodzinnych powiązań z moim bratem profe-
sorem – dodała, jakby Jan nie był świadom, że jego szwagier był
wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Ostatnio wspominała
coś o spodniach! Obecność tej kobiety w naszym domu nie przy-
niesie niczego dobrego. Wspomnisz moje słowa. Wiem, co mówię.
W przeciwieństwie do ciebie znam naszą córkę.

Wbrew temu, co sądziła jego żona, Jan znał swoją córkę doskonale.
Jego pobłażliwość i przymykanie oczu na pewne sprawy wynikały
z przekonania, że Eleonora nie tylko nie zarzuciłaby swoich planów
i pasji, gdyby jej ich zakazał, ale zaczęłaby do nich dążyć z jeszcze
większym uporem, nie bacząc na konsekwencje.

I tak mimo sprzeciwów Tekli Kazimiera wraz z mężem mieli się
pojawić na kolacji. Zaproszenie przyjął także Ignacy Chrzanowski,
który od lat przyjaźnił się z bratem Tekli, Władysławem Bobrzyńskim.
Obaj wykładali na Uniwersytecie Jagiellońskim i poza uczelnią często
spotykali się także prywatnie. Jan poznał Ignacego właśnie w domu

szwagra. Widzieli się później jeszcze kilka razy i dobrze się im gawędziło. Nie byli jednak przyjaciółmi, ba, zaledwie znajomymi, a jednak Schramm zdecydował się wystosować do niego zaproszenie. Nie zrobił tego bynajmniej z powodu swego szwagra.

– Czy znamy niejakiego Ignacego? – zapytała Tekla, trzymając w dłoni elegancką kopertę zaadresowaną do Chrzanowskiego.

– To, jak mi się zdaje, przyjaciel twego brata – odparł Jan, przeglądając przygotowane zaproszenia.

– I będzie nas wizytował z tego powodu?

– Nie, ale doszły mnie słuchy, że to daleki krewny Henryka Sienkiewicza. Przyznasz chyba, że warto mieć w kręgu znajomych ludzi, którzy pochodzą z tak zacnego rodu. – Dobrze znał naturę żony. Lubiała otaczać się ludźmi znanymi, najlepiej z pierwszych stron gazet. Wzmianka o zasługach i sławie zapraszanego delikwenta świetnie likwidowała jej wszelkie opory. – Wyobraź sobie, że to właśnie dzięki tym koneksjom Ignacy został zatrudniony na uniwersytecie. A nie ma jeszcze nawet stopnia doktora. Głośno się o tym nie mówi. To tajemnica poliszynela, chociaż ja wiem o tym akurat od twojej bratowej.

– Leokadia zawsze miała długi język – skwitowała Tekla.

Jan uśmiechnął się pod wąsem. „Przyganiał kocioł garnkowi”, pomyślał o swojej żonie, która znana była z namiętności do plotek.

Miał przyjść także lekarz Jan, z czego najbardziej ucieszyła się Eleonora.

– O, będzie Władysław, to znaczy pan doktor Kluger? – wykrzyknęła, patrząc z niedowierzaniem na zaproszenie.

Spotkała go pewnego dnia u wuja, który od lat raz w miesiącu urządzał piątkowe popołudniowe spotkania humanistów, wielbicieli historii oraz książek. Doktor zagadnął ją, kiedy siedziała w bibliotece wujostwa i starała się nie przeszkadzać rozmawiającym panom. Czytała akurat o wojnie secesyjnej. Lektura tak ją pochłonęła, że nie zauważyła zbliżającego się mężczyzny. Zaczęli rozmawiać. Najpierw nieśmiało,

lecz kiedy okazało się, że oboje pasjami lubią książki, rozmowa wciągnęła ich tak bardzo, że przerwali dopiero na słowa ciotki Leokadii:

– Siedzicie tak pochyleni ku sobie, że wyglądacie jak dwa gruchające gołąbki i gdybym nie wiedziała, że zapewne rozmawiacie o książkach albo innych głupstwach, pomyślałabym, że planujecie potajemną schadzkę.

Insynuacje ciotki nie popsuły humoru Eleonory i nie wpłynęły na jej dalszą rozmowę z doktorem Klugerem, który miał dziś zasiąść obok niej przy wigilijnym stole. A wszystko dzięki pomysłowości ojca, który teraz zwinął trzymaną w dłoni gazetę, wsuwając ją pod pachę, zdecydowany zajrzeć do niej w swoim biurze, gdzie pragnął wpaść choćby na chwilę.



Tymczasem Eleonora przeciągnęła się leniwie w wygodnym łóżku i powoli uniosła jedną powiekę. Musiało być jeszcze wcześniej, bo chociaż okna zasunięto ciężkimi zasłonami, widziała mrugające światła palących się latarni elektrycznych, które na stałe wrosły w krakowski krajobraz, rozświetlając uliczki i wiekowe zabytki od dnia, kiedy przy ulicy Dajwór stanęła elektrownia miejska.

Eleonora nie zamierzała jeszcze wstawać, choć sądząc po hałasie panującym w domu, wszyscy, łącznie z jej matką, musieli być na nogach. Krzątanina i nerwowa atmosfera trwały już od co najmniej tygodnia, lecz wczoraj i dziś szaleństwo świątecznych przygotowań sięgnęło zenitu.

Eleonora pomyślała, że ojciec szykuje się właśnie do wyjścia. Raz, że nie zamierzał płątać się niepotrzebnie pod nogami kucharzy, służących i pokojówek; dwa, że nie chciał niepotrzebnie wystawiać się na gniew matki, gdyby nie daj Boże coś miało pójść nie tak.

Dziewczyna lekko uniosła głowę i zerknęła w stronę stojącego po przeciwnej stronie łóżka, na którym spała jej młodsza siostra

Stefania. Ciężką pierzynę obleczoną w białą wykrochmaloną poszewkę, obszytą szydełkową koronką, naciągnęła po sam czubek głowy. Eleonora uznała, że to jest jakiś sposób, i zrobiła to samo. Leżała przez chwilę nieruchomo, starając się ignorować szuranie, odgłosy spadających garnków, trzaskanie drzwiami, nawoływania, pokrzykiwania matki i bieganie po korytarzu, aż w końcu odrzuciła nakrycie, łapiąc powietrze niczym karp wyciągnięty z wody. I kiedy wydawało jej się, że sen już nie powróci, musiała zasnąć, bo zdumiała się niepomnie, kiedy pokojówka odsunęła szybkim ruchem zasłony, wpuszczając do pokoju jasne światło sobotniego poranka.

– Czas wstawać, panienki – zaszczębiotała. Widząc, że Stefania nawet się nie poruszyła, podeszła do łóżka młodszej Schrammówny i ściągnęła pierzynę z jej głowy.

– Oszalałaś! – krzyknęła dziewczynka, szybkim ruchem naciągając ją z powrotem. – Chcesz, żebym się zaziębiła. Wszystko powiem mamie.

– Wstawaj, leniu. – Eleonora siedziała już na łóżku i z radością patrzyła na padające płatki śniegu. Uwielbiała przyglądać się śnieżynkom. Potrafiła godzinami wpatrywać się w opadające na parapet płatki. Ani jeden nie był podobny do drugiego. Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma dwóch takich samych śnieżynek. Wydawało się to niemożliwe, a jednak najwyraźniej było prawdziwe. – Dziś Wigilia. Uśmiechnij się. Nie znoszę tej twojej nadąsanej miny. Słyszysz?

– Nie jestem głucha – odburknęła dziewczynka. – Sama się uśmiechaj i bądź miła – warknęła i obróciła się na drugi bok.

Pokojówka z rezygnacją spojrzała na starszą panienkę, zastanawiając się, skąd w jej młodszej siostrze tyle zajadłości i złośliwości. Eleonora odwzajemniła spojrzenie i tylko wzruszyła ramionami. W przeciwieństwie do Stefci nie miała zamiaru dłużej się wylegiwać. Pomimo mrozu dzień zapowiadał się piękny. Zerwała się zatem z łóżka i z uśmiechem na twarzy, z rozwianymi włosami, na bosaka ruszyła

biegiem do łazienki. W dłoni niosła ciężką sukienkę, marząc o tym, aby kiedyś włożyć zawadiackie szarawary, takie jakie miała dziewczyna, którą wczoraj z innymi przechodniami oglądała na Rynku.

Wracała akurat do domu. Przystanęła na chwilę wiedziona ciekawością, na co z takim zainteresowaniem patrzą ludzie wokół. Uniosła głowę i wtedy ją zobaczyła. Dziewczyna stała na ostatnim szczeblu drabiny, trzymając w jednej ręce plakat z ogłoszeniem z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, a w drugiej pędzel mokry od kleju, którego jedna wielka kropla niebezpiecznie zwisała na końcu, nie mogąc się zdecydować, czy pacnąć na chodnik, czy też zostać tam, gdzie było jej miejsce. Panna miała na głowie małą, twarzową czapeczkę, spod której wydostało się kilka miodowych pukli, kręcąc się zalotnie wokół jej zaróżowionej czy to od zawstydzenia, czy od zimna twarzy. Na nogach nosiła długie, ciemne hajdawery, które z pewnością ułatwiały jej pracę.

– Oto zwycięstwo emancypacji! – krzyknęła jakaś kobieta, wzbudzając poklask innych niewiast i gwizdy mężczyzn.

– To babska konkurencja, która zniknie z powierzchni tak samo szybko, jak szybko się pojawiła. – Jakiś mężczyzna nie krył oburzenia. Inni wtórowali mu, powtarzając jego słowa, lub tylko kiwali głowami w górę i w dół, co upodabniało ich do pajacyków sterowanych ręką wprawnego artysty.

Eleonora potrząsnęła energicznie głową, chcąc się pozbyć wspomnienia o pomstującym i nieprzychylnie nastawionym do kobiet mężczyźnie. Marzył jej się świat, w którym kobiety będą równe mężczyznom, ale była świadoma, że tylko dobra wola tych drugich może dać poci pięknej to, o co jej przedstawicielki walczyły z coraz większą determinacją. Z ciekawością obserwowała ruch sufrażystek i zataczającą coraz szersze kręgi falę emancypacji. Nie miała zamiaru podporządkowywać się mężczyźnie, choć nie miała jeszcze pojęcia, jak to zrobi. Rozumiała nadzór, jaki nad nią i jej młodszą siostrą

sprawował ojciec. Wychowywał je, utrzymywał i dbał o ich wygody. Ale poddać się obcemu tylko dlatego, że jest jej mężem? Często zadawała sobie pytanie, dlaczego to mąż nie podporządkuje się żonie? Dlaczego ona, jako kobieta, nie będzie mogła w przyszłości zarządzać swoim majątkiem? Nie będzie mogła głosować tak, aby wpływać na swój los, dzięki samodzielnie wybranym reprezentantom tylko dlatego, że mężczyźni nie dopuszczają myśli, by dać kobietom prawo głosu. A najbardziej bolało ją, że nauka na uniwersytecie nadal była dla kobiet trudno dostępna. Dzięki wujowi Władysławowi Bobrzyńskiemu czasami mogła posłuchać wykładu. Zazdrościła studentom, którzy tak nie doceniali tego, co uważali za normalne, ponieważ natura obdarowała ich penisami. Jak to dobrze, że Schrammowa nie potrafi czytać w myślach. Pewnie dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała, że jej córka wie, jak wyglądają męskie narządy.

A wiedziała o tym od dawna.

Pewnego dnia, siedząc w bibliotece wujka, wzięła do ręki encyklopedię medyczną. To, co tam zobaczyła, zaciękało ją tak bardzo, że nie zauważyła zbliżającego się wujka. Przyglądała się akurat męskiej anatomii. Wuj zerknął do książki, a ona oblała się rumieńcem. Nie zbeształ jej ani nie kazał odłożyć książki na półkę. Zaczęli przeglądać ją razem, a on rzeczowo i spokojnie odpowiadał na jej pytania. To wtedy na zakończenie ich długiej i pouczającej rozmowy powiedział:

– Przyjdzie jeszcze czas, że przestąpisz próg krakowskiej wszechnicy bez żadnych przeszkód. Już pojawiły się na naszej uczelni pierwsze jaskółeczki. Kolejne cztery panny ukończyły naukę. Ani się obejrzyś, a będą przyjmować wszystkie dziewczęta, które wyślą podanie do władz uniwersyteckich.

Była jeszcze małym dzieckiem, kiedy władze uległy naciskom i dopuściły na studia magisterskie na farmacji trzy kandydatki, chociaż podań wpłynęło pół setki. Od tego czasu minęła ponad dekada, a żaden postęp się nie dokonał. Wciąż bowiem większość kobiet nie miała

możliwości zdawania matury. Jak miały się uczyć i kształcić, kiedy najczęściej własne rodziny występowały przeciwko nim?

Eleonora jeszcze nie poruszyła z rodzicami tematu kształcenia, ponieważ wciąż nie dokonała wyboru, gdzie chciałaby się uczyć. Z jednej strony pragnęła pogłębiać wiedzę historyczną, z drugiej wolałaby prawo, które pozwoliłoby jej stawać w obronie tych, którzy tej obrony z różnych powodów potrzebowali. Czasami myślała także o medycynie. Czas uciekał i lada dzień będzie musiała powiadomić o swoich planach matkę i ojca. Bała się tej rozmowy straszliwie. Nie chodziło jej o reakcję tatki, bo ten najczęściej był przychylny jej pomysłom. Tylko dzięki jego wstawiennictwu mogła przesiadywać w nieskończoność w domu wuja, a także w piwnicach kamienicy Kromerowskiej, gdzie urządzono antykwariat. Jak ognia bała się tego, co powie matka. Już nieraz słyszała jej utyskiwania:

– Ślęczysz wiecznie z nosem w książkach. Wzrok popsujesz, zanim dwudziesty rok życia skończysz. A kto niedowidzącą pannę zechce wziąć za żonę? Zresztą mężczyźni okrutnie nie znoszą mądrych kobiet. A niechby tak jeszcze była mądrzejsza od męża, to...

– Mamo, jeżeli będę mądrzejsza od niego, to głupiec nigdy się o tym nie dowie. – Eleonora podniosła wzrok znad książki, wchodząc matce w słowo. Miała nadzieję, że przerwie to jej wywód na temat czekającego ją staropanieństwa.

– Nie mędrkuj, tylko słuchaj. Spotkałam ostatnio matkę jednej z tych, co to swego czasu farmację studiowała. I zgadnij, czego się dowiedziałam. Biedna dziewczyna wciąż jest panną. Starą, oczywiście. Nikt jej nie chciał, bo czuć od niej karbolem i jodoformem. Wspomnij moje słowa. Matka sięgnęła zaraz po karty, żeby sprawdzić, czy jej czarnowidztwo przypadkiem się nie spełni.

Od tamtego dnia minęło sporo czasu. Matka już nie biadolila, lecz Eleonora była pewna, że kiedy tylko dowie się o jej planach, dostanie palpacji serca. Z pewnością czeka ją niezła przeprawa.

Nie zamierzała się tym jednak martwić dziś, w Wigilię. Chciała czym prędzej zjeść śniadanie i do czasu uroczystej kolacji zejść matce z oczu, idąc w ślady tatki, który wyszedł już jakiś czas temu.

Godzinę później Eleonora stała gotowa do wyjścia.

– Pewnie znowu idziesz pod dwadzieścia trzy? – Chociaż słowa matki wypowiedziane były tonem, jakby zadawała pytanie, nie taki był jej zamiar.

Starsza córka często się wymykała, żeby godzinami siedzieć w tamtejszym antykwariacie. Czasami Eleonora zaglądała też do księgarni pod tym samym numerem. Była to jedna z najstarszych księgarni nieprzerwanie działających w kraju, a może nawet i Europie, o czym dumnie poinformował ją kiedyś sprzedawca:

– Panienska pewnie nie wie – mówił – ale to miejsce otwarto już w 1610 roku. Zrobił to pewien kupiec z Kolonii po tym, jak przyjął obywatelstwo krakowskie. Podobno zachowały się dokumenty, które to potwierdzają. Najstarsze zdjęcie, o to tutaj – wskazał jej fotografię – pochodzi niestety dopiero z połowy ubiegłego wieku, ale nie mam powodów, żeby nie ufać kronikarzom. – Mężczyzna uniósł podbródek wysoko. Był dumny, że pracuje w miejscu z tak bogatą historią.

Chociaż Eleonora uwielbiała tę księgarnię, jej zapach, atmosferę i historię wyzierającą z każdego kąta, zdecydowanie wolała antykwariat, który mieścił się w piwnicach kamienicy. Po pierwsze dlatego, że mogła tam usiąść cicho w kącie z książką w ręce, nikomu tym nie wadząc, a po drugie, zdarzyło jej się już kilka razy spotkać tutaj ciekawe osoby ze świata literatury, teatru i nauki. Była to gratka, z której za nic w świecie nie chciała rezygnować.

– Skoro już i tak tam będziesz, to wstąp do cukierni. – Słowa matki zatrzymały Eleonorę w pół kroku, z ręką na klamce, przywracając ją do rzeczywistości. Spojrzała na Teklę, czekając na dalsze instrukcje. – Przypomnij im, że tort i ciasta, które u nich zamówiłam, mają dostarczyć dziś nie później niż o piętnastej. – Na koniec

wykrzywiła usta w grymasie dezaprobaty dla sposobu, w jaki córka spędzała wolny czas.

Eleonora, nie czekając dłużej, trzasnęła drzwiami i z szerokim uśmiechem zbiegła po schodach z pierwszego piętra. Zatrzymała się przed głównymi drzwiami i zerknęła w prawo, wzdychając z zachwytem. Wciąż nie mogła się przyzwyczać do ogromnego fresku, który powstał zaledwie kilka tygodni temu. Pomysł zrodził się w głowie matki, która tak długo namawiała ojca, aż ten w końcu zgodził się na kaprys żony i wyłożył stosowne środki. Nieciekawa, smutna ściana za sprawą zdolnej artystki uczęszczającej na kursy malarstwa żartobliwie zwane „Baraneum”, przeistoczyła się w barwną łąkę kwitnących irysów – ulubionych kwiatów Tekli Schramm. Przed domem natknęła się na stróża, który mieszkał z żoną w kamienicy. On dbał o dom i pomagał mieszkańcom w drobnych naprawach, ona pielęgnowała ich kwiaty, a miała do tego rękę jak nikt inny.

– Dzień dobry paniencie. – Skłonił głowę, zdejmując ciepły kaszkiet, który nosił niezależnie od pory roku.

– Dzień dobry, Jakubie. Właśnie wybawiłam cię z kłopotu, bo znając matkę, wysłałaby cię do Wielanda. Masz szczęście, gdyż bardzo jest dziś nie w humorze.

– W takim razie dzień nie mógł zacząć się lepiej, panienko – odpowiedział Jakub z ukłonem.

Tekla Schramm była dobrze znana ze swojego charakterku nie tylko w swojej kamienicy pod numerem 26, ale i w całym mieście. Większość wiedziała, że z żoną Jana Schramma nie należy wdawać się w dyskusje, żadne słowne utarczki, przepychanki na szybkie riposty i tym podobne. Niezależnie, czy Schrammowa miała rację, czy nie, nigdy nie przyznawała się do błędu, nie ustępowała w bitwie na słowa ani o włos, czym doprowadzała mniej odporne nerwowo niewiasty do łez. Jeden z panów tak bardzo przejął się stanem swojej żony, która nieostrożnie pozwoliła sobie na kłótnię z Teklą, że chciał stanąć

w jej obronie, wyzywając bankiera na pojedynek. Na szczęście żona owego pana miała więcej rozsądku niż wszyscy pozostali i do tego nie dopuściła. Niestety, sytuacja ta tylko utrwaliła niezbyt pochlebne zdanie o matce dziewczyny, która właśnie z uśmiechem na twarzy przestępowała próg cukierni.

Chociaż wciąż było stosunkowo wcześnie, w lokalu u Wielanda, który podobnie jak wiekowa księgarnia znajdował się w kamienicy Kromerowskiej, było tłoczno. Sprzedawcy uwijali się jak pszczoły w ulu, a jednak sklep nie pustoszał. Wśród uśmiechniętych i uprzejmych pracowników przechadzał się właściciel Kasper Wieland, który przejął cukiernię ponad pół wieku temu od swojego ojca. Eleonora lubiła wstępować tutaj na gorącą czekoladę albo kawałek przepysznego tortu Sachera.

Dzień, w którym poznała właściciela cukierni, na zawsze pozostał w jej pamięci. Przeglądała akurat „Ilustrowany Kurier Codzienny”, o którym ktoś zapewne zapomniał, kiedy do jej stoliczka przysiadł się starszy mężczyzna.

– Panienska pozwoli? – zapytał, lecz zanim Eleonora zdążyła odpowiedzieć, już sadowił się na wygodnym krześle. – Żona od lat mówi, że powinienem więcej czasu spędzać w domu i bawić wnuki, a ja, chociaż mam swoje lata, lubię być tu, w cukierni, gdzie toczy się życie, i przyglądać się twarzom zadowolonych klientów. Nic tak człowieka nie cieszy jak to, że inni doceniają jego ciężką pracę. Niektórym się wydaje, że my, starzy, już niewiele widzimy i jeszcze mniej słyszymy, ale ja wciąż mam wyostrzony wzrok i bardzo dobry słuch, dlatego nie uszło mojej uwadze, że panienska często zagląda do naszego antykwariatu, nieprawdaż?

– Nie myli się pan – odparła Eleonora, odkładając gazetę. – Lubię usiąść w kąciku i czytać tak długo, aż rozbolą mnie oczy. Miłość do książek pewnie odziedziczyłam po wuju, bracie mojej matki, który jest profesorem na uniwersytecie.

– To niezwykle, że panienka tak lubi czytać. Większość dziewcząt, które znam, jeżeli już coś czyta, to raczej są to ploteczki o modzie i urodzie, nie ubliżając tego typu zainteresowaniom, ale są one raczej błahe w porównaniu z pasją panienki. Bo z czystej ciekawości, a i sympatii zaciągnąłem języka i wiem, że panienka czyta książki poważne, naukowe. Najczęściej związane z historią.

– Bo ja chciałabym się uczyć. Chodzić na uniwersytet. Studiować, tylko że niestety nie jest mi to dane, bo jestem kobietą. Nie zamierzam się jednak poddawać. Nikt nie będzie za mnie decydował, czy mam być wykształcona, czy głupiutka jak przysłowiowa gąska. – Eleonora uniosła się nieco, uderzając w podniosły ton. Pewnie mówiłaby dalej, bo już chciała coś wspomnieć o emancypantkach i walce o prawa kobiet, lecz zwróciła uwagę, że właściciel cukierni bacznie jej się przygląda, a kąciaki jego ust drżą podejrzenie.

Starszy pan patrzył na nią uważnie jeszcze chwilę, a potem roześmiał się głośno i klasnął w dłonie.

– Jako żywo, jeszcze nie spotkałem tak ciekawej młodej damy. Mężczyzna, z którym się panienka zwiąże w przyszłości, będzie szczęśliwcem, o ile doceni jej umysł, jeżeli zaś nie, będzie nie tylko głupcem, ale i najniezszczęśliwszym mężem na świecie.

Rozmawiali jeszcze długo. W trakcie tej rozmowy Eleonora dowiedziała się, że cukiernia działa, rzecz by można, od wieków. Przodek Wielanda przybył do Krakowa ze Szwajcarii. Wynajął tu kamienicę, którą kilka lat później za dwadzieścia trzy tysiące złotych polskich kupił jego syn, będący już wtedy cenionym kupcem. Dzięki temu, że wyroby cukiernicze kolejnych pokoleń Wielandów były znakomite i w całym Krakowie trudno było znaleźć lepsze, szybko zyskali uznanie i stałych klientów. Niektóre rodziny były wierne temu miejscu od pokoleń.

W cukierni Wielandów można było usłyszeć pochwalne opinie: „Nie wyobrażam sobie zamawiać tortów gdzie indziej”. „Tutejsze wypieki nie mają sobie równych”. „Przyszło mi swego czasu jadać

Sachertorte na Ringstrasse w Wiedniu, ale jak mi Bóg miły, cukiernik tamtejszy powinien przyjąć terminować u pana Kaspra”.

Powodzeniem cieszyły się też ciasta i karmelki z wierszami, które chętnie kupowały kobiety lub zakochani mężczyźni, chcąc sprawić nimi słodką przyjemność narzeczonej.

Kiedy więc właściciel cukierni zauważył Eleonorę w wigilijny ranek, skinął na nią dłonią, aby podeszła od razu do niego i wysłuchał osobiście, co też miała do przekazania.

– A wpadnij jeszcze na gorącą czekoladę, zanim ruszysz z powrotem do domu – powiedział na pożegnanie. Już dawno przestał mówić do niej per panienko, o co zresztą prosiła go sama Eleonora, nalegając, kiedy ten początkowo nie chciał się na to zgodzić.

„Faktycznie – pomyślała dziewczyna. – To przedni pomysł”. Dzień był niezwykle mroźny i śnieżny. Kiedy wyszła z cukierni, wciągnęła porządny łyk świeżego powietrza. Poczowała, jak w nosie zamarzają jej malusieńkie włoski. Śnieg skrzypiał pod stopami. Z nieba zaś obficie padało. Uwielbiała taką pogodę. Pod kołdrą z białego puchu Kraków wyglądał jakby żywcem wyjęty z bajki.

W czasie kiedy Eleonora zmierzała do domu, gdzie zapewne wciąż trwały ostatnie gorączkowe przygotowania do kolacji wigilijnej, Jan Schramm zerknął na zegarek, siedząc nadal w swoim gabinecie. Za ostatnimi klientami i pracownikami już dawno zamknęły się drzwi banku i w budynku zrobiło się nadzwyczaj cicho, rzecz rzadko spotykana w tych murach, które codziennie od rana do wieczora rozbrzmiewały gwarem rozmów, śmiechem; czasem ktoś zbytnio podniósł głos, przechodząc do ostrzejszej wymiany zdań. Od ścian odbijały się odgłosy stawianych na dokumentach pieczęci, rytmiczne i miarowe stukanie w klawisze maszyn do pisania oraz tupot kroków spieszących się pracowników i klientów. Ale dziś, w Wigilię, kiedy bank zamknął swoje podwoje nieco wcześniej niż zwykle, tak aby pracujący tu ludzie spokojnie zdążyli do domu, zapanował błogi

spokój, który Jan Schramm postanowił wykorzystać. Miał jeszcze trochę czasu, sięgnął zatem do szuflady swojego przepastnego biurka i wyciągnął z niej grubego notatnik obciążony ciemną, grawerowaną skórą. Pamiętnik, który prowadził, miał już swoje lata, lecz że wpisy dokonywał w nim niezwykle rzadko, zaledwie kilka razy w roku, a czasami i rzadziej, tak jak ostatnimi czasy, kiedy nawet pracy odrywał go od drobnych przyjemności, miejsca na kolejne wspomnienia miał jeszcze sporo. Otworzył go z wolna, kartkując wcześniejsze wpisy. Wreszcie sięgnął po pióro. Ręka bankiera zawisła nad czystą białą kartą, którą zamierzał zapisać wspomnieniami o wydarzeniach, jakie przyniósł rok 1910.